Nr. 7. Kraków, Lipiec 1917. Rok XI.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚC NUMERU VII-go:

Jakie mają pretensye do Kościoła katolickiego.

I dla mężów stanu i dla przeciętnych, zwyczajnych ludzi jest obecnie najbardziej zasmucającem stwierdzenie tego faktu, że wojna nie może się skończyć. Jest to czemś tak tragicznem, że trudno formalnie znaleźć słów na określenie tego smutnego stanu rzeczy. Chociaż dzisiaj wszyscy, prawie rozpaczliwie starają się zrzucić z siebie odpowiedzialność za wybuch wojny i chociaż ciągle słyszymy jak ministrowie jednej strony w swoich publicznych przemówieniach czynią ministrów drugiej strony odpowiedzialnymi za wywołanie światowego pożaru, to jednakowoż dałoby się z całą pewnością znaleźć prawdziwych winowajców, jeżeli tylko mielibyśmy dostęp do tajnych dokumentów, przechowywanych ostrożnie w gabinetach dyplomatów. Są więc ludzie, którzy umieli wojnę wywołać, ale nie umieją jej skończyć. Wypadki wojenne popłynęły żywiołową falą i porwały ze sobą tych, którzy z początku zamyślali pewny bieg im nadać. I to jest właśnie obecnie najbardziej denerwującem całą ludzkość, że nie może się nikt znaleźć, ktoby mógł to wszystko opanować i kres kataklizmowi wojennemu poło-

żyć. Ani to oddawna zapowiadane ostateczne zwycięstwo i rozstrzygnięcie wojskowe nie przychodzi, ani też sztuka dyplomatyczna nic poradzić nie może.

Nic dziwnego, że kiedy wszystko zawodzi i kiedy z żadnej strony nie można się doczekać jutrzenki pokoju, kiedy w duszach wzrasta coraz większe zniechęcenie i rozgoryczenie, że odezwały się pewne głosy z niektórych stron — głosy dyktowane rozpaczą — że Kościół katolicki okazał się też bezsilnym, że nie przeszkodził wybuchowi wojny i że nie może również skłonić do pokoju walczących narodów.

W tym zarzucie kryje się wiele niezrozumienia, złej woli i żalu po niewczasie.

Bo tak: teraz chcieliby niektórzy, ażeby Kościół katolicki okazał swą siłę i potęgę polityczną, ażeby kierował nawą państwową w niektórych krajach. Ale ci sami ludzie zapominają o tem, że oni to właśnie są winni tego, że Kościół został pozbawiony wpływu politycznego. Oni to właśnie dążyli do tego, ażeby działalność Kościoła nie wychodziła poza obręb świątyń lub poza ściany domu.

I tak się stało w niektórych krajach, jak np. we Francyi. Gdyby więc Ojciec św., jako najwyższy przedstawiciel Kościoła zwracał się do rządu francuskiego i starał się go powstrzymać od wojny, to czyby go taki rząd usłuchał, jeżeli przed kilkunastu laty zupełnie jawnie i świadomie zerwał stosunki dyplomatyczne z Rzymem? — Albo czy z wolą i życzeniami Ojca św. liczył się rząd niemiecki, przeważnie protestancki. — Albo czy utrzymywała choć pozorne i czysto formalne stosunki z Rzymem potężna Anglia? Wcale nie! Przeciwnie w tym kraju po dzień dzisiejszy żywotne jest hasło: „precz z papieżem". — Albo czy wielka Rosya była skłonna iść za wskazaniami z Rzymu. Wszak z trudnością przychodziło utrzymać choć jakie takie stosunki dyplomatyczne. — Uwzględnijmy, że niektóre państwa jak Serbia, Bulgarya, Grecya są schyzmatyckie, w których Kościół nie mógł swobodnie działać. — Pozostają wreszcie niektóre państwa w Europie jak Austro-Węgry, Belgia, Hiszpania, któreby były więcej skłonne iść za życzeniami Rzymu i uwzględniać w polityce i w stosunkach międzynarodowych więcej zasadę katolicką, ale czy te państwa mogłyby były przeprowadzić zasadę katolicką, gdy inne nie chciały jej stosować w stosunkach międzynarodowych. Królestwo Boże nie utwierdziło się jeszcze w gabinetach królów, ministrów i dyplomatów. Przeciwnie, zupełnie świadomie było stamtąd wyganiane. Kiedy tak, to niech ci sami ludzie, którzy są winni tego stanu rzeczy, nie występują z pretensyami i zarzutami o małym wpływie Kościoła, kiedy tego wpływu zupełnie świadomie chcieli go pozbawić.

Pycha ludzka, która chciała wyrugować z urządzeń państwowych religię katolicką i wpływ Kościoła, ponosi teraz dotkliwą i straszną karę. Bo hełpiła się masonerya, że ona, a nie Kościół katolicki, powołana jest do wprowadzania zasad humanitarnych w życie narodów. Nuże więc podkopywać Kościół swoją krecią robotą. Tymczasem podczas wojny rozpadła się i zbankrutowała zupełnie. — Przechwalał się socyalizm, że on, posiadając międzynarodową organizacyę, zaprowadzi międzynarodowe braterstwo ludów i nie dopuści do wojny. Tymczasem również zbankrutował, rozpadł się na części, socyaliści jednych państw wystąpili wrogo przeciw socyalistom innych krajów, a nawet głośno i szumnie zapowiadana konferencya Sztokholmska, na którą mieli się zjechać socyaliści wszystkich krajów wojujących i neutralnych, nie może przyjść do skutku.

Jeden jedyny Kościół katolicki okazał się podczas całego trwania wojny prawdziwie powszechnym i miedzynarodowym. Papież zachował najściślejszą neutralność, ku żadnej stronie nie przechylał się stronniczo, okazał się pełnym miłości i troskliwości Ojcem jednej wielkiej rodziny chrześcijańskiej. Na wezwanie Papieża Kościół hamował wszędzie wybuchy nienawiści, potępiał okrucieństwa wojenne i spieszył z samarytańską pociechą wszystkim cierpiącym i dotkniętym nieszczęściami wojny. Biskupi i katolicy jako tacy jednego państwa nie wystąpili przeciwko katolikom w drugiem nieprzyjacielskiem państwie. Działalność Kościoła zajaśniała wspaniałym blaskiem w czasie wojny.

Chociaż więc Kościół katolicki nie wstrzymał wybuchu wojny, to nikt nie może mu z tego powodu robić zarzutów wobec pozbawienia go wpływów politycznych, o czem powiedzieliśmy wyżej. Chociaż Kościół nie położył jeszcze kresu wojnie, to jednak nie przestawał od początku nawoływać do jej zaprzestania, a zwłaszcza głos Ojca św. Benedykta XV. rozbrzmiewał kilka razy z całą powagą i namaszczeniem po całym świecie. — I gdy dyplomacya i polityka zawiodły i nie mogą pomimo wszelkich wysiłków opanować pożaru światowego, gdy wszyscy zaczynają uznawać swoją bezsilność, to bodaj czy wkrótce się nie pokaże, że jedynie Kościół katolicki powołany jest do przywrócenia pokoju na świecie, wzburzonym długo trwającą wojną.

Jak zatem z powyższego przedstawienia rzeczy widać, wielką krzywdę Kościołowi katolickiemu czynią ci, którzy posądzają go o bezsilność i bankructwo.

Nie! Kościół katolicki nie przestał i nie przestanie być owemi drożdżami wzruszającemi całą

ludzkość swoją nauką. Tylko że to działanie i ten ferment następuje powoli i stopniami i etapami. Otóż w dziejowej misyi Kościoła leży przecież zaprowadzenie powszechnego Królestwa Bożego na ziemi, kiedy to właśnie stanie się, według zapewnienia Boskiego Zbawiciela, jeden pasterz i jedna owczarnia.

Widocznie i przez obecną wojnę pozna dotkliwie ukarana ludzkość, że sama bez Boga i Kościoła nie poradzi sobie! I tak np. bardzo znamienne są słowa wypowiedziane niedawno przez prezydenta ministrów francuskich w senacie francuskim. Mówił on o sposobach zapewnienia trwałego pokoju pomiędzy narodami i między innemi tak dosłownie powiedział:

„Najlepszą rękojmią dla Europy będzie, jeżeli wszystkie narody będą do siebie samych należały. Narody stojące dziś pod bronią jutro utworzą społeczeństwo narodów. W tem leży przyszłość ludzkości lub chyba należałoby zwątpić w jej przyszłość".

Czyż właśnie te słowa nie tchną rezygnacyą, zwątpieniem i beznadziejnością!?...

Tak, do tego przekonania pomału wszyscy dojdą. Tylko Kościół katolicki, którego skroń opromienia aureola świetnej przeszłości i na którego czole jaśnieje gwiazda dziejowych przeznaczeń aż do skończenia świata, może nieszczęśliwą ludzkość wyprowadzić z otchłani nędzy, w jaką pogrążyła się przez wojnę i może ją na nowo wprowadzić na bezpieczne drogi, wiodące do lepszej przyszłości.

Przyczyną niedowiarstwa są namiętności i różne nałogi.

Nauka Chrystusa Pana, którą Kościół katolicki głosi, nie sprzyja namiętnościom, nie pozwala na złe skłonności, zdrożne chęci, choćby one dla człowieka były miłe, pożądane i przyjemne. Przeciwnie, wiara nasza potępia surowo wszelkie grzeszne rozkosze i przyjemności, zapowiada kary wieczne dla tych, którzy nie chcą porzucić życia rozwiązłego, hulaszczego, pijackiego. Odmawia nieba tym, którzy nie chcą zwrócić z krzywdą bliźniego zdobytego mienia. Wymaga wiara nasza koniecznie od swoich wyznawców, by zwalczali swoje złe skłonności, rwali grzeszne nałogi i nawyknienia, a nadto nakłada cały szereg trudnych i przykrych dla natury ludzkiej obowiązków, jak chodzenie na Mszę św. w niedziele i święta, zachowywanie przepisanych postów, szczerą pokutę za grzechy i t. p. Przypomina ciągle Kościół św., że tylko za dobre uczynki z wiary płynące niebo w nagrodę osiągnąć możemy, inaczej — jeszcze cięższa czeka nas kara, niż pogan i tych, którzy nauki Chrystusa nie poznali.

Otóż o tem wszystkiem ci, którzy z drogi przykazań zboczyli i pogrążyli się w jakim nałogu grzesznym, starają się zupełnie zapomnieć i te prawdy wiary, gryzące i niepokojące ich sumienie, pragną z głowy i serca wygnać i jak najprędzej wymazać je z pamięci.

Tacy nałogowcy niechętnie słuchają kazań i nauk, bo one karcą złe życie; niechętnie rozważają życie świętych, wstręt czują do pism i gazet religijnych, bo prawie na każdej karcie potępienie swego życia, swego postępowania wyczytują albo słyszą.

A gdy sumienie jeszcze się odzywa w nałogowcu, gdy przypomina mu przepisy wiary, zaczyna on w siebie wmawiać, że wiara jest wymysłem ludzkim, że po śmierci nie będzie sądu ani kary i tak stopniowo, pomału staje się zupełnym niedowiarkiem lub stwarza sobie własne wierzenie, jakie wygodne, które mu na życie rozpustne i grzeszne pozwolenie daje.

Czasem taki pragnie wyrzuty sumienia uspokoić w ten sposób, by jak najwięcej podobnych sobie wytworzył, boć to przecie w gromadzie siła! Więc naokoło, gdzie tylko może, występuje przeciw nauce Chrystusowej, nieraz z jakąś szatańską zaciekłością. Nie żałuje ani czasu, ani pieniędzy, aby tylko jak najwięcej od Wiary, od Kościoła oderwać, a oddać w służbę bożkowi szatańskiemu czy to pijaństwu, czy rozpuście i rozwiązłości, czy oszukaństwu, czy innemu jakiemu bałwanowi, któremu służy oddawna.

I Pismo św. uczy nas także, że nałogi różne są korzeniem niewiary: „Kto jest niedowiarkiem, nie będzie prosta dusza jego" (Hab. 2, 4), a Chrystus Pan sam powiada: „Przyszła światłość na świat (nauka Chrystusowa), ale ludzie umiłowali raczej ciemności, aniżeli światłość, bo były złe uczynki ich, każdy bowiem, który źle czyni, nienawidzi światłości, ani idzie na światłość, żeby nie były zganione uczynki jego". (Jan 3, 20).

I któż się z Panem tym porówna?!...

Długo trwająca wojna sprowadziła na ludność niesłychany ucisk i niewypowiedzianą nędzę. Miliony ludzi nie tylko nie mają się czem okryć i zaspokoić swoich najniezbędniejszych potrzeb, ale muszą formalnie przymierać z głodu albo, co może najgorsze, ginąć śmiercią głodową. Gdyby był ktoś powiedział ludziom przed wojną, że przyjdą takie czasy, to uznaliby go byli za waryata. Bo mniemali, że w dzisiejszych czasach nie może zapanować głód, gdyż okręty i koleje wszystkiego

dostarczą i wszystko nawet z daleka dowiozą. — Ale jak pod wielu względami przerachowali się nawet najmędrsi ludzie i wojna sprawiła nawet najmędrszym i najpotężniejszym niejeden bolesny zawód i tragiczne rozczarowanie, tak samo pomylili się, również ludzie w tem przypuszczeniu, że głód nie może teraz zapanować. — A przecież przyszły ciężkie czasy. Pamiętamy jeszcze, jak starzy ludzie opowiadali nam, że były takie złe lata, że ludzie musieli się żywić trawą, że niektórzy jeździli w dalekie strony, ażeby zakupić zboża na chleb, ale niestety nie można go było nigdzie dostać za drogie pieniądze. Ci starzy ludzie nawoływali przeto młode pokolenie do oszczędności i do wdzięczności względem Boga, że On, najdobrotliwszy Ojciec niebieski, użycza lat pomyślności, urodzaju i błogosławieństwa. Niestety spotykali się z drwinami i ze śmiechem. Młodsze pokolenie używało na złe i na rozpustę darów Bożych. Działo się coraz gorzej na świecie, ludzie zapominali, że przyjdzie straszna wojna. I rzecz dziwna, takie mniemanie przyjęło się powszechnie zwłaszcza po wsiach, gdzie ludzie zachowali jeszcze więcej bogomyślności i zdrowego rozumu.

I rzeczywiście przyszła straszna kara Boża, a jest nią obecna straszna wojna światowa.

Ileż niespodzianek ona już sprowadziła! Ile przewrotów, ile zmian przez nikogo nieoczekiwanych!... Ci, którzy ponoszą główną winę, wybuchu pożaru światowego, nigdyby byli nawet tej wojny nie rozpoczynali, gdyby byli wiedzieli, że taki obrót przybiorą niektóre sprawy!... Tak samo też nie przypuszczali najmędrsi pyszałkowie, że może przyjść w tylu państwach do tak skrajnej nędzy.

Ale w tem wszystkiem pokazuje się wszechmoc, mądrość i potęga Boża, tak, że zaprawdę patrząc na to, co się teraz dzieje, musimy powtórzyć te same słowa, które już przed tysiącami lat swemi niepokalanemi usty wyśpiewała sama Najśw. Marya Panna w swoim podniosłym hymnie „Magnificat“ o Bogu:

„Na cały świat pokazał moc Swych ramion świętych,
Rozprószył dumne myśli głów pychą nadętych.
Wyniosłych złożył z tronu, znikczemnił wielmożne,
Wywyższył, uwielmożnił w pokorę zamożne“.

I jakkolwiek mówi się już tyle razy, że wojna jest straszną karą Bożą za rozwielmożnione grzechy ludzkie, to jednakowoż po dzień dzisiejszy jest jeszcze wielu ludzi, którzy nie chcą tego uznać i zgodzić się na ten sposób zapatrywania. A przecież tak nam mówi głos sumienia. I to jest rzecz dziwna i charakterystyczna! I na to zwracamy naszym Czytelnikom szczególniejszą uwagę. A zwłaszcza nie chcą tego przyznać ludzie dumni, źli i zepsuci.

Ci wszyscy ludzie, którzy nie mieli i nie mają wiary w swoich sercach, okazują się teraz bardzo niecierpliwymi, na wszystko narzekają, a nawet bluźnią samemu Bogu. Chcemy to zaznaczyć, że nie jest jeszcze grzechem uskarżać się na zło i ciężkie czasy, że nie jest jeszcze grzechem krytykować złe zarządzenia różnych władz, z powodu których to zarządzeń zło jeszcze się potęguje, ale jest wielkim, strasznym i ciężkim grzechem narzekać na samego Boga i bluźnić Mu. Kto bowiem narzeka na samego Boga, pokazuje przez to zuchwałość i złość szatańską i dopuszcza się najstraszniejszego i najcięższego grzechu, jakiego wogóle człowiek dopuścić się może. W tym wypadku bowiem złość człowieka kieruje się wprost przeciw Bogu i godzi wprost w dobroć i mądrość Bożą. I dlatego uczy nas teologia, że ci ludzie, którzy bluźnią Bogu dopuszczają się najstraszniejszego i najcięższego grzechu. Ci podobni są w swojej złości samemu szatanowi i noszą na sobie piętno potępienia wiecznego.

Musimy zarazem zaznaczyć, że jest to specyalnie grzech wojenny, o którym dawniej wogóle mało było słychać. — A zarazem też trzeba powiedzieć na naszą pociechę, że grzech ten był prawie nieznany naszemu narodowi, u którego było wiele bogomyślności i bojaźni Bożej. Aż dopiero teraz w czasie wojny zepsuci ludzie innych narodowości przynieśli go do naszego kraju i zarazili nim nasze społeczeństwo. Rozszerza się on podobnie jak i inne zarazy wojenne.

Szczęśliwi mieszkańcy wiosek! Dziwicie się zapewne, że o tem piszemy, bo uważacie, że to jest niemożliwe! Bo jak pomyśleć sobie można Polaka, ażeby narzekał i bluźnił samemu Bogu. A przecież o tem coraz częściej się słyszy zwłaszcza w większych miastach. To jest charakterystyczny objaw wojny. Złość ludzi bezbożnych teraz właśnie w ten sposób się objawia. Jak brak wiary wywołał w czasie wojny okropny wyzysk, oszukaństwa, rozpustę itd., taksamo ten sam brak wiary wkłada teraz w usta niektórych ludzi bluźnierstwa przeciw Samemu Bogu.

Nieszczęśliwi i godni pożałowania ci bluźniercy! Wiją się w swojej złości, jak marne robaki. Czyż swojemi mowami strącą Boga z tronu, albo Mu zabronią czynić, co Jemu się podoba. Prawdą pozostanie to, co już Psalmista Pański śpiewał o Bogu:

„Pan ma narody wszystkie pod nogami,
Jego się chwała wznosi nad gwiazdami.
I któż się z Panem tym porówna? który
Wysoko siedząc z Swej niebieskiej góry,
I co na niebie i co jest na ziemi,
Oczyma widzi nieuchronionemi“.

Przeciwnie jak szczęśliwi i błogosławieni są ci,

którzy cierpią w cichości i bez szemrania. Pełni są pokoju wewnętrznego, zbierają sobie przez cierpienia liczne zasługi na żywot wieczny i przypatrują się spokojnie, jak Bóg nawet wśród zawieruchy wojennej przeprowadza swoje najświętsze plany i zamiary. A cóż dziwnego, że niektóre jednostki muszą cierpieć! Byle cała ludzkość była uleczona. Tacy śpiewają zawsze w duszy Bogu pieśń dziękczynną:

„Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada,
Niechaj świat Boską chwałę opowiada".

Relikwia Najśw. Krwi.

Słyszymy i czytamy nieraz opisy, że w tym lub owym kościele znajdują się cenne relikwie drzewa Krzyża św. Mało jednak osób, zwłaszcza u nas w kraju wie o relikwi krwi Chrystusa Pana. Znajduje się ona w mieście belgijskiem w zachodniej Flandryi, Bruges (czyt. Brüż) w kaplicy Św. Krwi (Chapelle du Saint Sang). Jakiemi drogami ta święta relikwia dostała się do Bruges, tego dziś na pamięć opowiedzieć nie zdołam. Przy wejściu do kaplicy są do nabycia broszurki z dokładnym opisem. Z opisu tego przypominam sobie tyle, że Krew Najśw. płynąc z ran naszego Zbawiciela podczas gdy był na krzyżu, kapała i spływała na kamienie pod krzyżem leżące. W jednym z nich, który był wklęsły, uzbierała się większa ilość i ta przechowaną została.

Co piątku przed południem odbywa się w kaplicy adoracya i wystawienie Krwi Najśw. Na podwyższeniu umyślnie w tym celu zbudowanem z pięknego marmuru i otoczonem od przodu marmurowemi balaskami, znajduje się mały stolik marmurowy, podłużny, jakby pulpit kościelnej ławki, tylko że nie pochyły ale poziomy. Za tym stolikiem są trzy stalle plecami oparte o ścianę kaplicy. Pomiędzy stolikiem a balustradą jest przejście dla adorujących, a do tego całego podwyższenia prowadzą z lewej i prawej strony wschodki (jest może z 10 stopni). W środkowej stalli zasiada kapłan ubrany w komżę i trzyma przed sobą opartą na stoliku relikwię.

Krew Najśw. jest wraz z przeźroczystym kamieniem (zapewne kryształ górski) osadzona w szklanym cylindrze o średnicy mniej więcej 6 do 7 centymetrów, a długości jakie 18 cm. Cylinder ten zamykają na obu końcach złote korki, do których jest przymocowany złoty łańcuch. Kapłan ma ten łańcuch przewieszony na szyi, jak stułę.

Wierni wszystkich stanów przychodzą w piątki do tej kaplicy, a pomimo ścisku, panuje tam zupełny porządek: każdy wchodzi prawymi wschodkami, jeden za drugiem, powoli, spokojnie, — przyklęka, całuje relikwię, wrzuca małą ofiarę do puszki i lewą stroną schodzi, potem klęka przed owem podwyższeniem, często zapala świecę w zbiorowym lichtarzu i modli się, a Pan Jezus często wysłuchuje próśb pobożnie do Niego wznoszonych, o czem świadczą przeliczne wota zawieszone na ścianach lub przechowywane w skarbcu kaplicy.

Że prośby tam zanoszone bywają cudownie wysłuchiwane, miałem tego dowód na sobie. Jeszcze za szkolnych czasów w kraju cierpiałem na częste krwotoki z nosa. Rzecz niby bez znaczenia, ale gdy się powtarza bez specyalnej zewnętrznej przyczyny po dwa, trzy, a nawet i cztery razy dziennie i gdy stan taki trwa przez kilka lat, to muszę to już nazwać chorobą. Radziłem się w kraju dwóch znanych, poważnych lekarzy specyalistów, badano mię skrupulatnie, lecz ranki w nosie nie znaleziono. Zapisywano rozmaite płukania, smarowania, tamowania, ale wszystko było bezskuteczne. Zdawszy w 1900 roku maturę, pojechałem na wyższe studya do jednego z miast belgijskich i tam zamieszkałem u pewnej staruszki, pani Devos. Poczciwa kobiecina, widząc że daję co tydzień do prania taką ilość okrwawionych chustek do nosa, nalegała, abym się leczył, bo, jak mówiła, „szkoda tyle krwi marnować". Poszedłem więc znowu do lekarza, profesora uniwersytetu, specyalisty chorób nosa, lecz pomimo skrupulatnego zastosowania jego porady, krew nie przestawała mi płynąć przynajmniej raz lub dwa razy dziennie. Po paru miesiącach wreszcie, pani Devos przyszła do mnie i nieśmiało zaproponowała mi czybym nie zechciał pojechać do Bruges i tam pomodlić się przed cudowną relikwią. Zgodziłem się i w najbliższy piątek pojechałem koleją o 8-ej rano do Bruges, oddalonego o pół godziny jazdy pospiesznym. Jechałem z żywą wiarą, bo to była ostatnia deska mego ratunku, lecz muszę przyznać, że i z obawą. Bałem się, że tak niegodnemu trudno przecie jechać po to, aby doświadczyć cudu. „A nuż się nie uda", myślałem sobie i na wszelki wypadek wziąłem ze sobą jak zwykle sześć czystych chusteczek do nosa. Przybyłem na miejsce, poszedłem odrazu do kaplicy, tam wschodkami na górę, przyklęknąłem, ucałowałem relikwię, wrzuciłem ofiarę do puszki, zeszedłem drugą stroną i na klęczniku przed tym ołtarzem wystawienia, przed tą relikwią zacząłem się modlić. Gdy schyliłem głowę zaczęła mi znowu płynąć krew z nosa, — ale była to ostatnia. W kilka sekund ustała i od tego czasu, tj. od lat 16-tu ani razu nie miałem krwotoku, nawet po katarze co się zwykle częściej zdarza. **Inż. Jul. M.**

Tajemnicza twarz nowej Rosyi.

Po obaleniu znienawidzonego przez wszystkich caratu dokonują się w Rosyi olbrzymie przemiany. Tymczasowy rząd rosyjski raz zdaje się tracić wszelki wpływ i powagę, to znowu drugi raz ma się cieszyć zupełnem zaufaniem narodu. Jedni ministrowie upadają, a nowi przychodzą na ich miejsce. Z Rosyi nadchodzą ciągle najprzeczniejsze wiadomości. Raz donoszą, że zanosi się na nową kontrrewolucyę, to znowu, że to jest wykluczone. Tak samo ma się sprawa z dalszem prowadzeniem wojny. Jedni w Rosyi dążą bezwarunkowo do natychmiastowego choćby nawet odrębnego pokoju, drudzy głoszą dalszą wojnę aż do zupełnego zwycięstwa. Jedni w Europie są przekonani, że armia rosyjska straciła wewnętrzną dyscyplinę i jest niezdolna do żadnej ofenzywy, drudzy znowu obawiają się, że armia rosyjska po przejściu wewnętrznych wstrząśnień może się jeszcze stać straszną dla sąsiadów itd. itd.

Jednem słowem twarz nowej Rosyi jest jeszcze bardzo tajemnicza i zagadkowa i nie wiadomo, jaki przybierze ona stały wyraz. Stanie się to dopiero zapewne po wojnie.

Tak samo trudno jeszcze dzisiaj napewne powiedzieć, *jak ułożą się stosunki religijne* w tym olbrzymiem państwie.

W każdym jednakowoż razie należy nam już dzisiaj przypuszczać, że stosunki religijne w nowej Rosyi ułożą się korzystniej dla Kościoła katolickiego, aniżeli to było przed wojną.

I tak przedewszystkiem musimy uznać za ogromny zysk dla Kościoła katolickiego to, że *katolicy w Królestwie Polskiem, na Wołyniu, na Litwie* uzyskali zupełną swobodę i wolność sumienia. Z ustąpieniem wojsk rosyjskich zapanowała na tych obszarach wolność religijna. Tembardziej musimy to cenić, jeżeli zważymy, jak carski rząd rosyjski prześladował nieustannie katolików w Polsce, jak skrępował nawet wolność osobistą biskupów i kapłanów, jak gnębił ich nieustannie różnemi karami administracyjnemi i pozbawieniem urzędu, jak popierał sektę Maryawicką, jak usiłował wprowadzić język rosyjski do urzędów parafialnych, a nawet do nabożeństw dodatkowych. Dzisiaj Kościół polski mógł swobodnie odetchnąć. Niedawno zjechali się w Warszawie wszyscy XX. Biskupi polscy. Z końcem czerwca odbył się znowu wielki zjazd księży katechetów z całego Królestwa. Kościoły zabrane bezprawnie przez Moskali i oddane prawosławnym, odebrano teraz i oddano znowu katolikom.

Niemniej i *w samej Rosyi* zyskał już wiele *Kościół katolicki* i jest nadzieja, że *będzie zyskiwał w przyszłości*. I tak rząd tymczasowy ogłosił w swojem programowem oświadczeniu *zupełną wolność sumienia* dla wszystkich obywateli. I zaraz wielu schyzmatyków przeszło na łono Kościoła katolickiego. Dotychczas należeli oni z musu i z obawy do cerkwi prawosławnej. Teraz mogli iść za własnem przekonaniem, tembardziej, że opłakane stosunki panujące w cerkwi rosyjskiej już oddawna odstręczały ich od niej. Jeżeli można wierzyć doniesieniom, to nawrócenia stają się coraz częstsze i liczniejsze. Dlatego nie możemy się dziwić, że arcybiskup mohylewski Cieplak uznał rząd tymczasowy, wyraził mu podziękowanie za przyrzeczenie wolności katolikom i wezwał też wszystkich swoich poddanych wiernych, rozrzuconych na olbrzymich obszarach swojej archidyecezyi, do popierania rządu tymczasowego.

Nie dosyć na tem. Z innego jeszcze względu otwierają się dla Kościoła katolickiego najpiękniejsze widoki na przyszłość. Mianowicie teraz jest *większa nadzieja, że schyzmatycka cerkiew rosyjska może wrócić na łono Kościoła katolickiego*. Są to daleko sięgające przypuszczenia, ale kto wie, czy Opatrzność Boża nie użyła również tej wojny do przeprowadzenia tego wielkiego zamiaru. Teraz bowiem niema już głównej przeszkody niedopuszczającej do złączenia obydwu Kościołów. Tą główną przeszkodą był carat rosyjski. Ten już upadł. Rząd carski używał cerkwi rosyjskiej do swoich celów, dlatego cerkiew rosyjska stała się pokorną służebnicą tego rządu. Nic też dziwnego, że wszystko zepsuło się i załamało w kościele prawosławnym i zewsząd zaczęto się domagać jego reformy. Uzdrowienie tego kościoła, może przyjść jedynie z Rzymu, z ogniska i centrum prawdy chrześcijańskiej. Inaczej bowiem cerkwi pozbawionej opieki rządu carskiego grozi zupełne rozprzężenie i upadek. Telegramy doniosły nawet, że Papież nosi się nawet z myślą utworzenia osobnej komisyi, któraby pracowałaby nad dziełem złączenia obydwóch kościołów. Ale musimy jeszcze czekać na potwierdzenie tych wiadomości.

Jakkolwiek więc nie wiemy jeszcze co przy-

Jakkolwiek więc nie wiemy jeszcze, co przyzmatyckiej cerkwi do Kościoła katolickiego, to jednakowoż już dzisiaj wiemy napewno, że milionom zbłąkanych owieczek jest nanowo otwarta droga do powrotu do prawdziwej owczarni Chrystusowej. *Tę pewną drogę wskazuje Kościół unicki*, czyli grecko-katolicki. Wiadomo, że Rusini w Galicyi należą do Kościoła katolickiego, chociaż mają obrządek grecki. Jednakowoż ten Kościół grecko-katolicki był bezwzględnie tępiony w Rosyi przez rząd carski, a najwyższy przedstawiciel tego Kościoła metro-

polita Szeptycki został nawet w czasie wojny wywieziony przez Moskali ze Lwowa w głąb Rosyi, gdzie się znęcał nad nim carski rząd rosyjski. I rzecz dziwna! Treaz metropolita Szeptycki uzyskał od rewolucyjnego rządu tymczasowego w Piotrogrodzie nie tylko wolność osobistą, ale nawet możność pracowania dla idei Kościoła grecko-katolickiego w Rosyi. Bo oto niedawno nadeszły wiadomości, że metropolita Szeptycki bawił w Kijowie, badał tam stosunki i że nawet zamierza ustanowić na Ukrainie hierarchię unicką, to znaczy zamianować wraz z Papieżem biskupów grecko-katolickich, podobnie jak to istnieje w Galicyi. Ta droga sprowadziłaby zapewne najprędzej tysiące, a może nawet miliony dusz odrazu do Kościoła katolickiego.

Tak tedy można z pewnem uzasadnieniem przypuszczać, że jak obecna wojna przyniosła wolność niektórym narodom, tak też przyniesie ona większą wolność Kościołowi katolickiemu na olbrzymich obszarach Rosyi. Drogi Opatrzności Bożej są zawsze dziwne i niepojęte.

Ale z drugiej strony nie trzeba nam jednakowoż zapominać, że tą wielka sprawa nie przedstawia się tak różowo, jakby to na pierwszy rzut oka mogło się komuś wydawać. Trzeba bowiem pamiętać, że wśród schyzmatyckiego rosyjskiego ludu zakorzeniona jest niechęć i uprzedzenie do Kościoła rzymsko-katolickiego, niechęć wpajana przez kilkanaście (bo od połowy XI w.) wieków przez popów prawosławnych. Nie będzie rzeczą łatwą wykorzenić odrazu tę niechęć i uprzedzenia. A nadto Rosya stoi obecnie pod terrorem zrewolucyonizowanego socyalizmu. A wiemy jak socyalizm występuje zawsze wrogo przeciwko Kościołowi katolickiemu. Najlepszym tego przykładem jest Francya. A aż nadto widoczną jest rzeczą, że rząd rosyjski stoi pod wpływami socyalizmu rosyjskiego. Wprawdzie nie wiadomo jeszcze o ile przyszły już stały rząd rosyjski będzie musiał ulegać socyalistom, ale bądź co bądź, jak z tego widać, Kościół katolicki napotka w swoim rozwoju na poważne również przeszkody ze strony bezbożnego socyalizmu.

Tak zatem możemy powiedzieć, że twarz nowej Rosyi jest jeszcze bardzo tajemnicza i nie wiadomo, jaki stały wyraz przybierze może już w niedalekiej przyszłości.

Jak się zdobywa sztukę wychowania?

Umiejętność dobrego wychowania dzieci jest sztuką nad sztukami. Łatwiej być rzeźbiarzem, malarzem, profesorem, sędzią aniżeli dobrym wychowawcą.

Bo o cóż wychowawca ma się starać? Ma się starać o to, aby dziecko w dobrem wzrastało i umacniało się, a opierało się złym skłonnościom: skłonniejsze do próżnowania niż do pracy, skłonniejsze do kłamstwa niż do prawdomówności, skłonniejsze do zemsty niż do darowania uraz, skłonniejsze do niemierności w jedzeniu i piciu niż do powściągliwości, skłonniejsze do rozpusty, niż do czystości.

W duszy dziecka leży wprawdzie nasienie dobrego, ale się trzeba niem tak opiekować, by to nasienie kiełkowało, wzrastało i wzmacniało się, a złe skłonności trzeba osłabiać i tłumić. Wychowawca, a przedewszystkiem ojciec i matka, podobny jest do rolnika, który musi ciągle swą rolę oczyszczać, bo inaczej trawa i zielska zaduszą dobre nasienie.

Gdy jeszcze dodamy, że dziecko prócz swoich własnych skłonności do złego narażone jest na pociąg do złego ze strony otoczenia, bo tu coś złego zobaczy, tam znowu coś złego usłyszy, to przyznać musimy, że potrzeba umiejętności nielada, aby dziecko w dobrem zachować i utwierdzić.

Gdzie tej umiejętności nabyć? Tę umiejętność daje naprzód P. Bóg małżonkom w sakramencie małżeństwa, jeżeli ten sakrament godnie przyjmują. Na cóż to bowiem Chrystus Pan ustanowił małżeństwo sakramentem, jeżeli nie na udzielenie małżonkom pomocy do bogobojnego życia i do chrześcijańskiego wychowania dziatek? Dlatego do ślubu trzeba się sposobić dobrem życiem i modlitwą, aby ten sakrament przyjąć jak najgodniej. Niestety, może żaden sakrament nie jest tak lekceważony jak ten, i może żaden nie jest tak często świętokradzko przyjmowany jak ten. Dlatego małżonkom brak nieraz tej pomocy, bez której dzieci nie wychowają na dobrych i świętych ludzi.

Dalej trzeba też o łaskę dobrego wychowania dzieci Pana Boga często prosić. Kto prosi otrzyma — to jest zapewnienie Chrystusa Pana.

Wreszcie trzeba się dobrego wychowania dzieci uczyć. Każdej sztuki trzeba się uczyć, a więc i sztuki dobrego wychowania. Bez nauki odpowiedniej nie uszyjesz buta, ani koszuli; bez nauki nie ugotujesz dobrze; bez nauki nie napiszesz nic. Więc wszystkiego trzeba się uczyć a tego więcej, co jest trudniejsze. A cóż trudniejszego nad sztukę wychowania?

Z czego się uczyć? A no z książek. Jest wiele książek, które pouczają, jak ma ojciec i matka wychowywać dzieci, aby były dobre. „Niewiasta katolicka“, pismo dla kobiet wychodzące w Krakowie, wydała trzy książeczki o wychowaniu dzieci po 8 hal. Zakład kurnicki p. Zamojskich także wydał książki o wychowaniu. W naszem piśmie „Siew polski cz. w obronie prawdy“ nieraz

podawaliśmy wskazówki, jak mają ojcowie wychowywać dzieci. Ojciec i matka, jeżeli tylko szczerze pagną pouczyć się o wychowaniu dzieci mogą łatwo postarać się o potrzebne książki. Jeżeli nic nie czytają o tem, ani nie myślą o tej ważnej sprawie , to znak, że o dobre wychowanie dzieci swych nie dbają.

Dobrze także zrobi ojciec i matka, gdy będą patrzeć, jak to postępują z dziećmi inni, zwłaszcza ci, co mają dobre dzieci. Takim nie zazdrościć, ale się od nich trzeba uczyć. Więc sztukę dobrego wychowania zdobywa się modlitwą i nauką.

Samarytanka.

A gdy usłyszał Jezus, iż Jan był pojman: wiedząc, iż usłyszeli Faryzeuszowie, że Jezus więcej uczniów czyni i chrzci, niźli Jan (chociaż Jezus nie chrzcił, ale uczniowie Jego), opuścił Żydowską ziemię i szedł znowu do Galilei.

A musiał przejść przez Samaryę.

Przyszedł tedy do miasta Samaryi, które zowią Sychar, blizko folwarku, który dał Jakób Józefowi, synowi swemu.

A była tam studnia Jakubowa. Jezus tedy spracowany z drogi, siedział tak nad Studnią [1]). Godzina była jakoby szósta [2]).

Przyszła niewiasta z Samaryi czerpać wodę.

— „Rzekł jej Jezus: Daj mi pić“.

Bo uczniowie Jego odeszli byli do miasta, aby kupili strawy.

Rzekła Mu tedy ona Samarytańska niewiasta:

— „Jakoż ty, Żydem będąc, prosisz u mnie pić, któram jest niewiasta Samarytanka? bo Żydowie nie obcują z Samarytany“ [3]).

— „Odpowiedział Jezus i rzekł jej: Byś wiedziała dar Boży [4]), i kto jest, co ci mówi: „Daj mi pić!“ tedybyś Go snadź była prosiła, a dałby ci wodę żywą“.

— „Rzekła mu niewiasta: Panie, niemasz i czem czerpać, a studnia jest głęboka: skądże masz wodę żywą? Izażeś ty większy jest, niźli ojciec nasz Jakób, który nam studnię dał, i sam z niej pił, i synowie jego i dobytek jego“.

Odpowiedział Jezus i rzekł jej:

— „Każdy, który pije z tej wody, zasię będzie pragnął: lecz ktoby pił z wody, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki. Ale woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody, wyskakującej ku żywotowi wiecznemu“.

— „Rzekła do Niego niewiasta: Panie, daj mi tej wody, abym nie pragnęła, ani tu czerpać chodziła“.

Rzekł jej Jezus: „Idź, zawołaj męża twego, a przyjdź tu“.

Odpowiedziała niewiasta i rzekła: „Nie mam męża“.

— „Rzekł jej Jezus: Dobrześ powiedziała, iż nie mam męża. Albowiem pięciu mężów miałaś, a teraz, którego masz, nie jest twoim mężem. Toś prawdziwie powiedziała“.

— „Rzekła Mu niewiasta: Panie, widzę, iżeś ty jest Prorok. Ojcowie nasi chwalili na tej górze [5]): a wy powiadacie, że w Jeruzalem jest miejsce, kędy potrzeba chwalić“.

— „Rzekł jej Jezus: Niewiasto, wierz mi, iż przyjdzie godzina, gdy ani na górze tej, ani w Jeruzalem będziecie chwalić Ojca [6]). Wy chwalicie, co nie wiecie: my chwalimy, co wiemy: bo zbawienie z Żydów jest [7]). Ale przychodzi godzina, i teraz jest, gdy prawdziwi chwalcy będą chwalić Ojca w duchu i prawdzie. Bo i Ojciec takowych szuka, którzyby Go chwalili. Duch jest Bóg: a ci którzy Go chwalą, potrzeba, aby Go chwalili w duchu i w prawdzie“.

— „Rzekła Mu niewiasta: „Wiem, że przyjdzie Mesyasz (którego zowią Chrystusem): gdy tedy przyjdzie, On oznajmi nam wszystko“.

— „Rzekł jej Jezus: Jam jest, który z tobą mówię“.

A natychmiast przyszli uczniowie Jego: i dziwowali się, że z niewiastą mówił: Wszakoż żaden nie rzekł: O co pytasz, albo co z nią rozmawiasz?“ [8]).

Zostawiła tedy wiadro swe niewiasta: i szła do miasta i mówiła owym ludziom:

— „Pójdźcie, a oglądajcie człowieka, który mi powiedział wszystko, comkolwiek czyniła. Nie tenli jest Chrystus?“

---

[1]) Cóż to za wzruszający widok Boskiego Mistrza, kiedy wycieńczony trudami podróży, usiadł w środku wiejskiego podwórca, ażeby poczekać na nieszczęsną duszę, która zabrnęła w grzech i aby ją pojednać z Bogiem!

[2]) Według naszego rachunku — samo południe.

[3]) Religia Samarytan była zlepkiem wierzeń pogańskich i wiary w prawdziwego Boga. Dlatego to właśnie żydzi mieli ich w pogardzie.

[4]) Duch św., najwyższy dar Boga, jest tą wodą żywą, która gasi żar potrójnej pożądliwości, zabezpiecza duszę od oschłości i użyźnia ją pod wzrost świętych czynów.

[5]) Góra Garizim, gdzie Manasses wzniósł świątynię, ażeby ją przeciwstawić świątyni Jerozolimskiej.

[6]) Cześć i ofiary żydów oraz Samarytan miały już niebawem ustać.

[7]) My wiemy, że nasza religia jest głęboką tęsknotą za Messyaszem, który ma się narodzić z żydów. My wiemy, że wszystkie nasze obrządki wyobrażają Jego posłannictwo i Jego łaski.

[8]) Dziwili sie dobroci i pokorze Jezusa, który raczył rozmawiać z biedną kobietą, którą przypadkowo spotkał. (Św. Jan Chryzostom). Nigdy uczony mąż nie powinien był, według nich, zniżać się do rozmowy z niewiastą. Faryzeusze w tym względzie zaszli aż tak dalece, że uważali, iż lepiej byłoby, aby zginął Zakon, niż aby go tłumaczono kobiecie.

A przetoż wyszli z miasta i szli do Niego.

A tymczasem prosili Go uczniowie, mówiąc: Rabbi, jedz:

A On im rzekł:

— „Mam ja pokarm ku jedzeniu, o którym wy nie wiecie".

Mówili tedy uczniowie między sobą:

— „Aboć Mu kto jeść przyniósł?"

— „Rzekł im Jezus: Mój pokarm jest, abym czynił wolę Tego, który mię posłał, abym wykonał sprawę Jego. Izaż wy nie mówicie: iż jeszcze są cztery miesiące, a żniwo przyjdzie? [9]) Oto wam powiadam: podnoście oczy wasze, a przypatrzcie się krainom, że już białe są ku żniwu [10]).

— „A kto żnie, bierze zapłatę i zbiera owoc żywota wiecznego: aby i który sieje, weselił się społu, i który żnie". Ja was posłał żąć, czegoście wy nie robili: inni robili, a wyście weszli w prace ich".

A z miasta onego wielu Samarytanów uwierzyło weń: dla słowa niewiasty, świadectwo dającej, że mi wszystko powiedział, com jedno uczyniła. Gdy tedy przyszli do Niego Samarytanowie, prosili Go, aby tam został: i przemieszkał tam dwa dni. I daleko więcej ich uwierzyło weń dla mowy Jego.

— „A niewieście mówili: Już nie dla twej powieści wierzymy: bośmy sami słyszeli i wiemy, że ten jest prawdzwie Zbawiciel świata".

(Cztery Ewangelie w jedno).

Świętość rodzicielstwa.

„Czem korzeń dla drzewa, źródło dla rzeki, podwaliny dla budowli, tem jest rodzina dla państwa i Kościoła; z rąk rodziny otrzymuje państwo obywateli a Kościół wiernych wyznawców".

Tak pisał francuski uczony, ks. Gaume, w swem pięknem dziele: „Historya rodziny". I słusznie! Skoro bowiem Bóg powołał do życia pierwszą parę ludzką, związał ją w małżeństwo i rzekł: „Róście mnóżcie się i napełniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną". Tym sposobem zespolona z ojcostwem Samego Boga rodzina, otrzymywała twórczą moc Bożą w wydawaniu na świat potomstwa. W jej działaniu miał się nieustannie powtarzać ów cud stworzenia, kiedy to Bóg, powoławszy z nicości do bytu świat i napełniwszy go wszelakiem stworzeniem, rzekł: „uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze"... I utworzył człowieka z mułu ziemi i natchnął w oblicze jego duch żywota i stał się człowiek z duszą żywiącą". A skoro w ten sposób powstał ten, który był „mało co mniejszy od aniołów chwałą", przyszły władca świata, „postawiony nad dziełami rąk Bożych", wówczas Bóg, przydawszy mu w osobie małżonki „pomoc jemu podobną" i sprawiwszy, iż „byli dwoje w jednem ciele", złożył w tym związku Swą twórczą moc krzewienia życia ludzkiego na ziemi...

Chlubi się dzisiejszy świat postępem swej wiedzy, którą przeniknął tajniki przyrody; wejrzawrzy bowiem w głąb ustroju żyjących istot, odkrył ich złożenie z różnych pierwiastków, które w odmiennem połączeniu inne wytwarzają żyjątka. Aczkolwiek atoli wiedza ludzka orzekła już stanowczo, jakie składniki zawiera w sobie np. pszeniczne ziarno i wzajemny ich stosunek dokładnie określiła, to jednak nie zdobyła się jeszcze na to, by z tych znanych składników utworzyć mogła ziarno takie, któreby wrzucone w ziemię zakiełkowało, okwitło i owoc wydało. I nigdy chyba przemyślność ludzka do tego nie dojdzie. Największy bowiem wysiłek człowieka nie zdoła nigdy stworzyć życia, którego Stwórcą jest jeno Sam Bóg. Z Jego to mocy bowiem tak się dzieje, iż owe pszeniczne ziarnka, które złotymi kłosami z ziemi wykwitają i tyle nowych ziarn rodzą, „same w sobie mają nasienie rodzaju swego" w owej „duszy żywiącej", w której tai się twórcza Wszechmoc Boża.

I ta Wszechmoc Stwórcy właśnie to sprawia, że pszenica pszenicę rodzi, jaskółka jaskółkę na świat wyprowadza, a człowiek człowiekowi życie daje. Ponieważ atoli człowieka wyniósł Bóg ponad wszystko stworzenie i ciało jego Swem własnem tchnieniem ożywił, przeto też i w dziele tworzenia życia ludzkiego na ziemi, więcej władzy mu przydał, niż innym stworzeniom. Uposażywszy go bowiem w wolność stanowienia o swych czynach, rozporządzeniu jego woli oddał tworzenie życia pokoleń. Podczas, gdy owo ziarno pszeniczne, albo owa ptaszyna, wrodzonym popędem wiedziona, o zachowanie własnego rodzaju, przez wydawanie potomstwa z konieczności dbać musi, to w człowieku niemasz tej konieczności; on stwarza życie wedle własnego upodobania. Co więcej! Roślina i zwierzę, stwarzając potomstwo, stwarza je całkowicie sama; z człowiekiem atoli współdziała zawsze Bóg, a to działanie Swoje czyni nawet zależnem od działania człowieka. Kiedy bowiem człowiek wykonuje piewszą część rajskiego dzieła Stwórcy i tworzy ciało, to Bóg spełnia wtedy drugą część dzieła i stwarza ów obraz i podobieństwo Swoje" — duszę nieśmiertelną, w której też źródło życia utaił. I zawsze tak się dzieje, że kiedy człowiek rozporządzeniem swej woli owo dzieło stworzenia pocznie, Bóg go dokonuje.

---

[9]) W Palestynie odbywają się żniwa dwa razy do roku: raz na wiosnę, a drugi raz pod koniec lata.

[10]) Mówiąc to, prawdopodobnie Chrystus wskazał uczniom ręką na wysokie wzgórze, które się zabieliło od płaszczów idących ku niemu Samarytan.

Wielka to zatem sprawa! W twórczem dziele wydawania na świat potomstwa zespala się ludzka rodzina z ojcostwem Samego Boga. Zaiste! Szczytem i pełnem chwały jest to posłannictwo!

Złość ludzka atoli i to chwalebne dzieło skaziła. Oto grecki filozof, Empedokles, nauczał, że dziecko w łonie matki, jest jedynie częścią jej ciała, a nie odrębnem od niej „zwierzęciem“ (!) Więcej wielkoduszny Plato, zaprzeczył mu i przyznał wprawdzie poczętemu dziecięciu godność „odrębnego zwierzęcia“, ale przeczył zarazem, jakoby wtedy miało już być człowiekiem, należącym do ludzkiego społeczeństwa; tem samem więc wolno je było zabić, a czyn taki poważny Kwintylian, uważał nawet za „bardzo piękny“. To też nie dziw, że te przewrotne wywody filozofów skwapliwie podjęły pogańskie społeczeństwa. Starożytni Grecy i Rzymianie zabijali dzieci w łonach matek i nie czynili sobie z tego żadnych skrupułów.

Przeciw tym niecnym praktykom wystąpiło surowo chrześcijaństwo. Uważając, iż już w chwili poczęcia dusza łączy się z ciałem, zabijanie dziecięcia w łonie matki, osądziło jako zbrodnię morderstwa. Za nauką Kościoła poszły w swych ustawach chrześcijańskie państwa, karząc surowo podobne występki. Mimo to atoli tych zbrodni mnóstwo się dziś dzieje. Obok wstydu, obawy i t. p. najczęściej jednak czynią to ludzie z prostej lekkomyślności. Zasłaniając się nic nieznaczącą wymówką, że „więcej dzieci wychować nie potrafią“, zabijają poczynające się życie. Nie pomną atoli chyba wtedy na ciężkość swej zbrodni. Zapominają, iż burzą tym sposobem odwieczny porządek Boży i niweczą dzieło Stwórcy, który z nimi dotąd współdziałał. Nie bacząc zaś na to, poniżają tym sposobem swą rodzicielską godność, uważając ją za czynność czysto zwierzęcą.

Inaczej na tę sprawę zapatrywali się nasi ojcowie, starzy Polacy. W wielu okolicach po dziś dzień zowią jeszcze chrzest dziecięcia „radośnikami“. Każdy bowiem przybytek potomstwa w dawnej Polsce sprawiał radość całej rodzinie. A nie zdarzyło się nigdy, aby u najbiedniejszego nawet chłopka któreś z dzieci zmarniało. Ostatni komornik „potrafił“ zawsze wszystkie wychować... W te sprawy głęboko wniknąć nam trzeba. Wszak nastał dla nas dzień „odbudowy życia polskiego“. Precz więc ze zbrodnią! — Rodzicielstwo jest święte! Kazić go nie wolno!

Anioł Pański.

Och! jasno, zielono; a wieczór tak cichy.
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perlą się rosy świecące;
Tam wiejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka
Tam skrzypią chróściele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze zmęczona rzeczułka
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną,
I ozwał się dzwonek z kościółka:
Anioł Pański...

O! dzwonek-skowronek lubuje w swym głosie,
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzią się tonów rozlewa;
A oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny
To wszystko się modli i śpiewa.
I dusza w wszechświecie rada się rozwleka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,
Więc dalej do chóru najgłośniej:
Anioł Pański...

W cmentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci,
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiewa ich sławą,
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co ziemią mogiłą,
To pierś się podniesie, zbroicą zakuta,
A usta zamarłe odchylą:
Anioł Pański...

Kornel Ujejski.

Świątobliwa Ludwina z Kęt

(r. 1628).

Za panowania Zygmunta Augusta, ostatniego z Jagiellonów, zakwitła w skromnym ogródku ubogiego rolnika czysta lilia, pełna niebiańskiej woni.

W miasteczku Kenty, ojczyźnie św. Jana Kantego, przyszła na świat dziewczka, godna wielkiego współziomka. Bogobojni rodzice, których była jedyną pociechą, dali jej na chrzcie św. imię Ludwiny czyli Lidwiny, świątobliwej zakonnicy, zmarłej wówczas w Schiedam, w Holandyi. Chętnie widać przyjęła błog. patronka dziecię pod swoją opiekę, bo młodziuchna Ludwina wcześnie zaczęła naśladować jej cnoty.

Obdarzona wielką urodą, odgadła marność skarbu tak cenionego przez świat i nie umiłowała próżności, lecz starała się jedynie o bogactwo nieśmiertelnego ducha. Zaledwie podrosła, nie próżnowała już ani chwili, pomagając ubogim rodzicom. Zajmowała się całym domem, pracowała

w ogrodzie, przędła wełnę, sprzedając ją później bogatszym mieszkańcom Kent.

Zdawało się nieraz, że przejeżdżający pobliskim gościńcem panowie i panie, dziwili się bardzo jej niezwykłej urodzie i pytali, czy nie chciałaby porzucić ubogiej chatki i udać się na służbę do jakiego zamożnego dworu, gdzieby jej się prędzej nadarzył los lepszy. Ale ona odpowiadała zawsze bez wahania, że za żadne skarby świata nie porzuciłaby rodziców, że nie lęka się ubóstwa, skoro je tak umiłował sam Zbawiciel, ani też pracy, do której przecież człowiek stworzony. I odchodzili nic nie wskórawszy, jedni chwaląc mądrość dziewczęcia, drudzy wstrząsając szyderczo głową. Po takich rozmowach wracała Ludwina, zawsze swobodna i wesoła, pod swój ubogi dach, gdzie co wieczór rodzice, składając dłonie, zlewali na jej głowę wszystkie błogosławieństwa nieba. Pan Bóg potwierdzał je widocznie, bo pobożna córka pracą swą nietylko ulżyła ciężaru ich żywota, lecz nadto dopomagała jeszcze biedniejszym. Jeżeli choroba lub niedola nawiedziły którego z sąsiadów, spieszyła natychmiast z usługą i datkiem, nie dając się wyprzedzić nikomu w uczynkach miłosiernych. W dni świąteczne wsłuchiwała się w kościele pilnie w słowo Boże, aby później zbawienną naukę opowiadać ubogim dziatkom, które rada zgromadzała wokoło siebie. Mowa jej była zawsze tak słodka, tak przenikająca serca, że szła prosto do duszy i utkwiła głęboko w pamięci młodych latorośli. Starzy ludzie mawiali nieraz pomiędzy sobą, przysłuchując się jej rozmowie, że zaprawdę Duch Boży przemawia przez usta tej dzieweczki. I rzeczywiście były to objawy mądrości Boskiej, zaczerpniętej z najczystszej krynicy ducha, bo Ludwina była prostaczką, nieumiejącą nawet czytać.

Zdarzyło się raz, że modlącą się przy swych owieczkach w polu, napotkali pielgrzymi powracający z Rzymu, a ujęci pobożnością i wdzięczną postacią Ludwiny, opowiedzieli jej o swych podróżach. Mówili szeroko o wielkiej stolicy, z której następca św. Piotra roztacza władzę nad wiernymi całego świata, o męczennikach, których szczątki spoczywają w ponurych podziemiach, o tylu pamiątkach wreszcie, zroszonych łzami i krwawym potem Zbawiciela. Rozgorzała dusza Ludwiny po wysłuchaniu opowiadań, ogień zapału ogarnął ją całą i strzelił jasnym promieniem z jej oczu. Skłoniwszy się nizko do nóg pobożnych pątników, prosiła, aby zechcieli choć na jeden dzień przyjąć gościnę w chacie rodziców. Nie posiadała się z radości, gdy uczynili zadość temu życzeniu. Cały wieczór i dzień następny nie mogła się dość nasłuchać ich opowieści. Niestety, nadeszła godzina rozstania. Pielgrzymi, pobłogosławiwszy gościnne progi, udali się w dalszą podróż, a Ludwina pozostała przy swych zwykłych zajęciach. Lecz robota nie szła jej jak zazwyczaj i dzieweczka była jakoś dziwnie zamyślona. Marzyła bezustannie o zwiedzeniu stolicy chrześcijaństwa, widziała jakby na jawie wspaniałe jej mury, a pośród nich snujące się żywe postacie męczenników i świętych. Miewała chwile zachwytu, podczas których rozmawiała z nimi i zapominała nagle o wszystkiem, co ją otaczało. I nie dziw, rozpowiadali jej oni wtedy o swej nieskończonej radości, o swej promiennej chwale.

Nic niebezpieczniejszego dla młodego umysłu, jak zajęcie się czemś, co ma osobiste uszczęśliwienie na celu, a prawdopodobnie nigdy się spełnić nie może. Wkrada się wtenczas zniechęcenie do serca, ten gość nienawistny, mogący spowodować łatwo upadek w dobrem. Spostrzegła wkrótce Ludwina, że od chwili, w której ogarnęła ją gorąca żądza zwiedzenia miejsc, wydających jej się przedsionkiem nieba, zbladł cichy urok dotychczasowego jej życia. Ulękła się tej zmiany, jak grzechu, odpychając siłą woli, oraz żarliwą modlitwą urocze swe marzenia i powróciła wkrótce do dawnego spokoju. Jeżeli później zamyśliła się jeszcze niekiedy nad opowiadaniami pielgrzymów, nie przerywała wskutek tego pracy, nie mając już w sercu innego pragnienia nad chęć przypodobania się Bogu.

Jak cichy strumyk, wśród równiny zasianej polnymi kwiatami, płynęło życie Ludwiny w chatce rodzicielskiej. Nie zaznała nigdy cierpienia, a jednak potrafła w niem wytrwać podczas dni ciężkiej próby. Straszliwa zaraza, nawiedziwszy kraj, zmiatała ludzi jak wicher liście jesienne. Ludwina kończyła wówczas szesnaście lat i oddała się z zaparciem siebie na usługi chorych. Wszędzie rozlegały się jęki i narzekania, przejmujące trwogą najodważniejsze serca. Nieraz noc ciemna zastała dzieweczkę u łoża boleści i nic nie zdołało jej zatrzymać w domu, jeżeli tylko chodziło o niesienie pomocy lub pociechy.

Mieszkańcy okoliczni nazwali Ludwinę aniołem opiekuńczym i mówili, że Bóg widocznie otacza ją łaską swoją, oszczędzając jej chatę od szerzącej się coraz gwałtowniej plagi.

Mylą się jednak ci bardzo, którzy w tem życiu szukają nagrody dla wybranych! Jest ona tak wielką, że ziemia jej dać nie może! Cnota zaś właśnie w cierpieniu nabiera blasku, którym później jasno przyświeca w niebie!

Wkrótce zaniemogli też ciężko i rodzice Ludwiny. Odgadła ona łatwo ich chorobę. Była to nieuleczalna zaraza, która już tyle zabrała ofiar. Z okiem suchem, z modlitwą na ustach i gorączkowym rumieńcem na wybladłem licu, otaczała swych ukochanych tysiącem najtkliwszych starań. Niosła im ulgę w okropnych boleściach i dopiero gdy się wszystko skończyło, gdy już ciem

łowy wieniec sieroctwa okolił jej skronie, ulżyła zbolałemu sercu potokiem łez gorących. Litująo się nad ciężką dolą dziewczęcia, chcieli sąsiedzi ją wziąć do siebie, ale ona wolała pozostać w swej chacie, nie wątpiąc, że Chrystus i aniołowie Jego nie opuszczą w samotności i bolu ufającego i wierzącego serca. Zdarzyło się także, że pewien stateczny mężczyzna zapragnął ją pojąć za żonę, lecz i temu odmówiła, oddawszy całe swe życie na służbę Boga i bliźnich.

Na modlitwie i pracy zeszła Ludwinie pierwsza zima jej sieroctwa. Z wiosną wzięła się do pracy poza domem, jednakże często skrapiała łzami uprawianą przez siebie ziemię. Chociaż nikt z ust jej nie usłyszał szemrania przeciw wyrokom Bożym, serce miała ściśnione ciężką boleścią i nie czyniła sobie z niej wyrzutów, sądząc, że Pan Bóg, który sam jest miłością, nie może potępiać cichego objawu chześcijańskiego żalu.

Pewnego dnia, gdy po raz pierwszy wyszła w pole i pasła, jak dawniej, owce, spotkała znów cały zastęp pielgrzymów. Odzież ich i przybory podróżne zdradzały, że daleką przed sobą mają drogę. Serce dzieweczki uderzyło mocno siłą wspomnienia, a gdy zapytani wędrowcy powiedzieli, że się udają do Rzymu, dawno niewidziany uśmiech rozjaśnił jej lica. Następnego dnia osadziła w chacie swej najuboższą rodzinę miasteczka, oddając jej wszystko na własność w razie, gdyby nie miała w przeciągu jednego roku powrócić. Spieniężyła potem niektóre ruchomości, przywdziała szatę reguły św. Franciszka z Assyżu i pomodliwszy się na grobie rodziców, wyruszyła w daleką drogę.

Po cichej, zielonej równinie, wyludnionej przez malarye, posuwał się znużonym krokiem orszak pątników z różnych krańców świata. Pomiędzy garstką niewiast i mężczyzn z Polski jaśniała dzieweczka cudnej urody. Ani praca, ani ciężkie strapienia, ani wreszcie trudy dalekiej podróży nie przyćmiły blasku piękności Ludwiny. Opromienił ją tylko jakiś wyraz świętości, który zmuszał patrzącego ukorzyć się wpierw przed duchem nieśmiertelnym, zanim ogarnął wzrokiem ziemską doskonałość rysów.

Pielgrzymi rozpytywali się pilnie, rychło ujrzą na widnokręgu kres swej podróży. Na błękitnem tle nieba ukazała się wreszcie złota kopuła, z której krzyż rozpościera nad światem chrześcijańskim opiekuńcze swe ramiona. Przewodnik pielgrzymki, Rzymianin, padł wtenczas na kolana i zawołał głośno: „Roma. Roma la Santa!“

Każde przedsięwzięcie większą nam sprawia radość w chwili doprowadzenia go do zamierzonego celu, o ile większemi były przeciwności, towarzyszące jego wykonaniu. To też błogi był zachwyt Ludwiny i jej towarzyszów, gdy po wielu niebezpieczeństwach i trudach, o jakich dzisiaj nawet wyobrażenia mieć nie możemy, znaleźli się w mieście wiecznem. Odetchnąwszy zaledwie godzin kilka, rozpoczęli drugą wędrówkę, pomiędzy lasem kolumn, grobowców i świątyń rzymskich. Ludwina oderwać się nie mogła od pobożnych pamiątek, chodziła od kościoła do kościoła i znów zdawało jej się, że rozmawiają z nią duchy męczenników i świętych, że jej odsłaniają tajemnice zaświata i dusza dzieweczki pałała żądzą pozostania z nimi na zawsze. Gdy pewnego wieczora, jak zwykle, rozmyślala w ruinach Colosseum, zwróciła jej uwagę cicha, w polskim języku wypowiedziana skarga. Odgadując jakąś istotę cierpiącą, zbliżyła się spiesznie do miejsca, skąd ją dochodził głos i ujrzała wybladłą, młodą jeszcze niewiastę, okrytą suknią tercyarki. Głowa jej wsparta była na odłamie kamienia, a ręce skrzyżowane na piersiach, ściskały kurczowo czarny, drewniany krzyżyk.

— Czego żądasz, miła siostro w Chrystusie? przemówiła do niej łagodnie Ludwina.

Zagadniona wzniosła oczy ku niebu, zapewne składając dzięki za pomoc sobie zesłaną, i prosiła, aby jej pomódz powstać i odprowadzić ją do domu.

Ludwina przywołała pozostałą opodal towarzyszkę i obie zawiodły widocznie chorą niewiastę na wskazane miejsce. Była to maleńka cela, położona opodal kościoła Santa Maria sopra Minerva. Wązkie łóżko, kilka drewnianych stołków, stolik i duży krucyfiks stanowiły całą jej ozdobę. Widząc, że chora coraz bardziej słabnie, pozostała Ludwina przy niej przez całą noc. Rozrzewniona niewiasta nie miała słów na wyrażenie jej podzięki. Nad ranem prosiła o sprowadzenie kapłana, który od czasu, jak zamieszkała w Rzymie, był jej spowiednikiem. Bezzwłocznie spełniła Ludwina żądanie chorej. Skoro pojednała się z Bogiem i uczuła chwilowe polepszenie, odwdzięczając się za starania, zebrała wszystkie siły, aby opowiedzieć ważniejsze wypadki gasnącego już życia.

Bogumiła z Stradomia, podobnie jak Ludwina, w młodym wieku straciła rodziców i wzbudzała podziw rzadką urodą. Nie poszła jednak cierniową ścieżką zasługi, przekładając nad nią kwiatami usłaną drogę złego. Dopiero gdy tak, jak syn marnotrawny, zdarła i splamiła godowe szaty, żal ścisnął jej serce, zaczęła pokutować za winy popełnione, a im czystszą się stawała w oczach Boga, tem czuła się niegodniejszą Jego łaski. Wszystko, co czyniła, zdawało się jej niedostatecznem do zgładzenia grzechów. Wreszcie pewien świątobliwy kapłan, widząc jej zgryzoty, doradził dla ukojenia ich pielgrzymkę do Rzymu, jak to było zwyczajem w owych czasach. Odprawiła ją niebawem Bogumiła, przywdziawszy habit św. Fran-

ciszka. Przy pierwszem zwiedzeniu miejsc świętych, uczuła zaraz jakiś błogi spokój w duszy i zamieszkała wśród nich, wypraszając sobie ową celkę przy kościele na mieszkanie. Od lat kilku żyła z jałmużny, spełniając uczynki miłosierne, do jakich się jej tylko nadarzała sposobność.

W kilka dni po spotkaniu z Ludwiną, oddała Bogu ducha, a pobożna dzieweczka zajęła jej miejsce w ciasnej izdebce i ślubowała nie opuszczać Rzymu już do śmierci. Towarzysze namawiali ją do powrotu, lecz ona trwała niewzruszenie w swem postanowieniu. Odtąd życie jej było jednem pasmem modlitwy i poświęcenia. Usługiwała chorym, doglądała umierających i zajmowała się troskliwie ubogimi pielgrzymami. Żyjąc tak przeszło lat czterdzieści, znaną była w całem mieście pod nazwą świątobliwej Polki.

Zasnęła w Panu 23. kwietnia r. 1623. Cały prawie Rzym odwiedzał tłumnie jej zwłoki, tak, że ich długo nie można było pochować. Dzisiaj jeszcze w kościele polskim św. Stanisława każdy pobożny Rzymianin wskaże zwiedzającemu święte pamiątki stolicy Piotrowej, po lewej stronie ołtarza św. Jacka miejsce, w którem złożono szczątki bogobojnej Ludwiny z Kent.

Cuda, czy przypadki?...

W krwawych zapasach z Turkami, za Jana Sobieskiego, trzydziestu polskich wojowników, odciętych od swej chorągwi, musiało wraz z kapłanem szukać schronienia na jednej skale Karpat w miejscu, gdzie się zbiegały granice Polski, Wołoszczyzny i Węgier. Odkryci jednak, otoczeni zostali przez przemagające siły Bisurmanów; stawili im jednak dzielny opór i długo zwycięsko się bronili. Skoro jednak wyczerpali już resztki zapasów i groźniejszy od miecza głód trapić ich poczynał, stracili nadzieję ratunku. Wówczas pobożny kapłan ułożył nową pieśń do Najśw. Maryi Panny, aby z jej śpiewem na ustach oddać mogli Bogu swe prawe dusze. Nade dniem zabrzmiały odgłosem tej pieśni góry i skały...

„Zawitaj ranna jutrzenko“ zaśpiewali gotowi na śmierć rycerze z taką dziwną siłą, że przerażeni tem Turcy, myśląc, iż oblężonym nadeszły posiłki pierzchnęli w nieładzie...

Może atoli ktoś powiedzieć, że to prosty przypadek tak sprawił; wszak w życiu często tak się zdarza, że jakaś najobojętniejsza sprawa, acz mimowoli, jednak w szczęśliwą porę użyta, wywołuje najbardziej błogosławione skutki. Tak i tam pewnie było. Oblężeni, widząc swój niechybny koniec, zaczęli śpiewać nabożną pieśń, a Turcy, posłyszawszy liczne głosy, pomnożone jeszcze wielokrotnem echem, domyślali się nadejścia odsieczy i umknęli...

Tak chce sądzić zawsze pyszny umysł ludzki, który się lęka każdej tajemnicy cudu. Cóż atoli rzecze ten pyszałek na to, gdy wejrzawszy w ówczesne dzieje, takich rzekomych „przypadków“ napotka całe mnóstwo? Czem wytłómaczy wówczas tę „przypadkowość“, że owe dziwy dzieją się zawsze np. za przyczyną Najśw. Maryi Panny? Jak wyjaśni np. to, że Hieronim Lubomirski, opadnięty przez ćmę Tatarów, gdy samowtór z niejakim Pawłowskim przedzierał się lasami do Beresteczka, ślubowaniem trąb Matce Boskiej Niewirkowskiej, doczekał się rychłego ratunku od swoich. Czem uzasadni beresteckie zwycięstwo, odniesione nad trzechkroć liczniejszym wrogiem, gdy sam król, hetmani i rycerstwo uznali je za dzieło Maryi, która z cudownego obrazu, przywiezionego przez biskupa Suszę z chełmskiego kościoła tak wszechwładnie pośród wojska panowała, że Jej imię odmieniane na różnoraki sposób, za jedyne hasło w obozie służyło. Jakiemi przyczynami rozwiąże owe wszystkie cudowne obrony Sokala (1655), Przemyśla (1657), Lwowa (1675), w których jawną opiekę Maryi sami wrogowie widzieli? Pewnie nie znajdzie na to innej odpowiedzi, jak jeno tę, iż cudem to wszystko się stało.

Jakżeż bowiem nie uznać za cud np. nagłego wyzdrowienia człowieka, który już dogorywa? A tak było w r. 1672, gdy sułtan Mahomet IV., wyruszywszy przeciw Polsce zdobył już Kamieniec Podolski, a nie było komu stawić mu oporu, bo wielki hetman koronny, Jan Sobieski, leżał śmiertelnie chory we Lwowie. Skoro atoli o tem wielkiem niebezpieczeństwie, jakie od wschodnich granic na biedny kraj walić się poczęło, posłyszał, wówczas, acz już na śmierć przez lekarzy skazany, pełen ufności zwrócił się o pomoc do Matki Boskiej Łaskawej, czczonej na cudownym obrazie w lwowskiej katedrze i nagle uzdrowiony, z niemocy powstał; stanąwszy zaś na czele swych walecznych hufców, w mig rozbił pogańskie oddziały pod Krasnobrodem, Niemirowem, Komarnem, Kałuszem i dumnego Mahometa IV. do przyjęcia pokoju zmusił.

Oto jawna pomoc Nieba dla tych, którzy silnie w nią wierzyli. Dawni Polacy często jej zaznawali, bo pełni wiary nie nazywali nigdy tego „przypadkiem“, co było jawnym cudem.

Świętość dziewictwa w Polsce.

Pogańscy Rzymianie pośród całej rzeszy różnych bożków i boginek szczególną cześć oddawali Weście, bogini dziewiczości i opiekunce czystości o-

byczaju w rodzinnem pożyciu. U jej świątyni w Rzymie utrzymywano wiecznie płonący ogień, którego wygaśnięcie znamionować miało zawsze wróżbę wielkiego nieszczęścia dla państwa. To też pilnie strzegły „świętego ogniska“ osobno na to poświęcone kapłanki-dziewice, zwane „westalkami“, które cieszyły się zawsze wielkiem poważaniem u całego narodu. Św. Hieronim pisze, że najwyżsi urzędnicy państwa, a nawet sami cesarze, spotkawszy na ulicy Westalkę, ustępowali przed nią z drogi, co nawet wtedy czynili, gdy po odniesionem zwycięstwie wracali w tryumfie do swego zamku na Kapitolu, a nieprzeliczone tłumy, zebrane na ulicach miasta, oklaskiwały ich i wcielonymi bogami okrzykiwały... A gdy kiedykolwiek się zdarzyło, że koło skazańca wiezionego na śmierć, przeszła Westalka, wówczas stary obyczaj nie pozwalał go już zabijać, bo obecność dziewictwa, omywała winę zbrodniarza.

Tak wysoko cenił sobie pogański Rzym święte dziewictwo. Nierównie atoli wyżej oceniło je chrześcijaństwo. Zrozumiawszy na wielkim przykładzie Najśw. Maryi Panny nadprzyrodzoną wartość dziewictwa, Kościół katolicki już w pierwszych wiekach swego istnienia tak się bujnie rozkwitł liliami panieńskiej niewinności, że zajaśniał niemi we wszystkich dziedzinach społeczności swych wiernych. Bieliły się te lilie po leśnych pustelniach i domowych zaciszach, kryły się po zgiełkliwych dworach wielmożów i rozmiłowanych w zmysłowych uciechach królewskich zamkach; a tak ich wszędzie było wiele, że już wówczas uważać można było za spełnione owo proroctwo, dotyczące Królowej Dziewic: „Przywiodę królowi panny za Nią, przyniosą do Ciebie blizkie Jej“. (Ps. 44, 15). A im dalej w krąg świata postępował Kościół Chrystusów, a Marya szerzyła „władzę Swoją i rozkorzeniała się w zacnym narodzie“, tem też więcej wzrastała biała rzesza. W każdym z chrześcijańskich narodów uważano zawszo za najwyższy wykwit doskonałości: dziewictwo.

Słusznie zaś pod tym względem chlubić się może nasza Polska. W orszaku bowiem świętych dziewic, które Polska na dwór niebieskiej Królowej wysłała idą jako przodownice bł. Salomea i św. Kinga, które do dziewiczego pierwowzoru Maryi najwięcej się zbliżyły, bo choć podobnie, jak Ona, „poślubione były mężowi“, — to jednak „męża nie znały“. I tak, jak Najśw. Panna ze swym św. Oblubieńcem Józefem w czystości żyła, tak bł. Salomea ze swym mężem Kolomanem, królewiczem węgierskim i księciem halickim, a św. Kunegunda z Bolesławem Wstydliwym, królem polskim żyły, a święty przykład tych dziewiczych par, tak zbawiennie potem podziałał na cały naród, że budząc pośród polskiej młodzi wielkie umiłowanie świętego dziewictwa, wiele z niej doprowadził do takiej w tej cnocie świętości, że obok nich stanęli jeszcze na ołtarzach w otoku dziewiczości: bł. Bronisława Odrowążówna, św. Kazimierz, królewicz i św. Stanisław Kostka, a za nimi nieprzeliczony zastęp niewinnych dusz, które, acz w poczet świętych nie zostały zapisane, pewnie jednak śpiewają w wielkim chórze na niebieskim dworze „nową pieśń, bo dziewicami są“.

Chlubi się nimi każdy wiek naszych dziejów i każdy stan społeczny ma w nich swe przedstawicielstwo, bo począwszy od świątobliwej królewny Adelajdy Domiceli, córki Kazimierza Sprawiedliwego, o której zapisały dzieje, że pierwsza w Polsce uczyniła wieczyste śluby dziewictwa, aż do tej wiejskiej dzieweczki, Karoliny Kózkówny z pod Radłowa, która w czasie ostatniej wojny w obronie dziewictwa z rąk rozbestwionych kozaków śmierć męczeńską poniosła, światło dziewiczości nigdy u nas nie przygasało, bo zawsze były „panny mądre“, które „oleju“ cnoty pilnie strzegły i każdej chwili gotowe były na przyjęcie Boskiego Oblubieńca.

Jak wysoce zaś cenił sobie polski naród dziewictwo, to wymownem świadectwem tego są też te liczne klasztory, które budował i hojnie wyposażał król, senator, rycerz, mieszczanin i biedny chłopek nawet, przyczyniający się do świętego dzieła bodaj grosikiem ofiary, co działo się zwłaszcza wtedy, gdy na Ojczyznę nieszczęście jakie spadło. Wierzono bowiem, że „święta niewinność“, w której się Bóstwo przygląda, łatwo od Boga wszelką łaskę uzyszcze. To też wielce czczono w Polsce „święte panny“ klasztorne, a powszechny obyczaj raczej za aniołów, niż ludzi zwykł je uważać.

I nie dziw! Wszak ten sam obyczaj w zwykłych warunkach dziewictwo koronuje, a gdy ono małżeństwu miejsca ustąpić musi, wtedy nażalić się z tego powodu nie może. Oto w wielu okolicach utrzymuje się po dziś dzień starożytny zwyczaj weselny, gdzie panna młoda, w królewskiej koronie, splecionej z kwiecia i świecidełek, zasiadając do przywdziania czepka, znaku małżeństwa, śpiewa żałośnie:

„Mój wianeczku lewandowy,
Nie opadaj mi z mej głowy“.

A gdy starościny, mimo próśb i zaklinań, wypowiadanych w rzewnej pieśni, koronę dziewictwa z głowy jej zdejmą, wówczas ani:

„Mateńka wianka nie bierze,
Bo od żałości nie może“,
Ani ojciec przyjąć go nie chce,

jak dalej piosnka głosi, ani bracia, ani siostry, bo „nikt od żałości nie może“. A gdy jej dziewicze kosy obetną, a brat już:

„Z zawojem idzie, zawojem wiejo,
Jego siostrzyczka od żalu mdleje“.

A choć to „wesele“, to jednak niejedna łza z oczu weselników spadnie... Tak czci dziewictwo stary obyczaj polski, że je po królewsku koronuje, gdy ono jeszcze kwitnie, a żałośnie je opłakuje, gdy go już niema.

To też nie dziw, że tak uszanowana w społeczeństwie święta niewinność, znalazła też silną opiekę w prawie. Wedle ustaw polskich każde „zgwałcenie dziewicy“ karano „gardłem“ czyli śmiercią, jako zbrodnię, równą zdradzie ojczyzny, zamachowi na króla, ojcobójstwu itdp.

Tak oceniali ojcowie nasi wartość świętego dziewictwa, które ich niebieską Królowę do godności Matki Bożej wyniosło.

Jaki mi jeszcze środek pozostaje?

Do sędziwego kapłana, mającego dużo doświadczenia, przyszła raz bogata, wytwornie ubrana dama i prosiła o radę. Mówiła: „Wasza Wielebności, jestem ogromnie przywiązaną do świata i wpadam ustawicznie w dawne ciężkie grzechy. Próbowałam wszelkich możliwych środków, lecz nic nie pomagały. Odprawiałam rekolekcye, często chodziłam do spowiedzi, modliłam się wiele do Matki Boskiej, dawałam jałmużnę. Niestety to wszystko nie odniosło skutku. Proszę cię, ojcze duchowny, powiedz, jaki mi jeszcze pozostaje środek? Z wielkim spokojem odrzekł kapłan: „Nieszczęście“. I rzeczywiście tak było. Pani owa utraciła w krótkim czasie przez jakiś wypadek większą część majątku: wnet też śmierć zabrała jej krewnych. Przyszła tedy znów po jakimś czasie do kapłana i rzekła: „Nieszczęście nareszcie przyprowadziło mnie do Boga“. — Pan Bóg postępuje z grzesznikami, jak ojciec z nieposłusznem dzieckiem; ćwiczy je rózgą, aby się upamiętało. Jak chirurg tnie chorego i pali, aby go wyleczyć i ocalić od śmierci, tak też i Bóg czyni; cierpieniami pragnie grzesznika zachować od śmierci wiecznej. Widać to na przykładzie marnotrawnego syna.

Tajemnica wielka.

U pierwszych chrześcijan, jak świadczą zabytki katakumbowe, używano nieraz przy uczcie ślubnej pamiątkowego puharu. Widać było na nim taki obraz: nad słupkiem, mającym kształt ołtarza, a ozdobionym drogimi kamieniami, łączą się ręce nowożeńców, podczas gdy Chrystus, unoszący się nad słupkiem, wyobrażającym Kościół, kładzie wieniec na głowy małżonków. Wspaniały to obraz wiary pierwszych chrześcijan w sakrament małżeństwa. Związek małżeński był dla nich świętym nietylko dlatego, że sam Bóg go już w raju ustanowił i pobłogosławił mu, ale nadto dlatego, że pośród chrześcijan związek ten został uświęcony i wyniesiony do godności Sakramentu, udzielającego łask do sumiennego spełniania obowiązków rodzinnych. Wiedzieli pierwsi chrześcijanie, że niema wśród nich małżeństwa bez Chrystusa i Kościoła, a obraz wyżej opisany świadczy wymownie, jak w sercach ich tkwiło głębokie zrozumienie słów św. Pawła, wypowiedzianych o związku małżeńskim: „S a c r a m e n t u m h o c m a g n u m e s t, — Tajemnica to wielka jest, a ja mówię w Chrystusie i w Kościele“. (Efez. 5, 32).

Przed przyjściem Chrystusa Pana, w starym Zakonie, związek małżeński nie był jeszcze znakiem widzialnym, sprawującym łaskę niewidzialną, jakkolwiek nosił na sobie cechę religijną przez to, że już wówczas przedstawiał tajemnicze łączenie się Chrystusa-Odkupiciela z Kościołem, mające urzeczywistnić się dopiero w Nowym Zakonie. Gdy nadeszła wszakże pełnia czasów, gdy na ziemi zrodziło się Królestwo Boże, Kościół św., wtedy związek małżeński, dzięki Przenajdroższej Krwi Zbawiciela, stał się źródłem łaski, środkiem uświęcenia duszy i lekarstwem dla zleczenia jej ran. Od onego czasu małżeństwo, podobnie jak i Kościół, stało się narzędziem Chrystusowem, ku uświęceniu rodzaju ludzkiego. Wzajemne pożycie męża i żony w rodzinie stało się odtąd cząstką wielkiej rodziny Bożej, Kościoła, oraz środkiem do rozmnażania i szerzenia Królestwa Bożego na ziemi. Za pomocą małżeństwa właśnie buduje Chrystus duchową świątynię Kościoła: ona to przyprowadza doń dusze, aby je oczyszczał, uświęcał i uszczęśliwiał na wieki; ono to zaludnia nietylko już ziemię, ale i Kościół i niebo.

Pan Jezus mając serce szerokie i pełne miłości względem ludzi, nie omieszkał ze swej strony uzdolnić małżeństwa do spełniania wzniosłego tego zadania w Zakonie miłości. Wysługując na krzyżu łaskę Bożą ku uświęceniu całej ludzkości, chciał także rodzinę, podstawę społeczeństwa i źródło nowego życia ludzkiego, udoskonalić i rodzinie tej pobłogosławić. Ponieważ zaś małżeństwo opiera się na wzajemnej miłości małżonków, miłujące Serce Jezusa miało być szczególniejszym wzorem dla serc małżonków. Miłość ich przez łaskę sakramentalną ma być czysta i święta, cierpliwa i ofiarna tak, iż mogłaby przetrwać wszystkie trudności i przeciwności życia małżeńskiego, owszem zajaśnieć po próbie ogniowej cierpień w czystszem jeszcze blasku. W tym to szlachetnym celu uświęcenia miłości małżeńskiej Pan Je-

zus związek ten przekształca przez przywiązaną doń łaskę na rzeczywisty odcisk swojej własnej miłości ku oblubienicy Swojej, którą jest Kościół święty. Wyraźnie świadczy o tem św. Paweł, który z tej prawdy, że wzajemne związanie się męża i żony węzłem małżeńskim przedstawia połączenie Chrystusa Pana z Kościołem. wysnuwa obopólne obowiązki małżonków: „Mąż, powiada jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła... ale jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swoim mężom we wszystkiem. Mężowie, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół—Samego Siebie wydał zań“ (Efez. 5, 23—25). Miłość więc małżonków ma swój wzór w owej szczerej, wiernej i świętej miłości, jaką żywi Najsłodsze Serce Zbawiciela ku Kościoołwi: nie powinna zatem szukać własnego pożytku i zadowolenia, ale bezinteresownie postępować, jako Chrystus, który z miłości położył życie za Kościół, za nas; nie powinna zadrżeć przed ofiarami, ni przed troskami codziennego życia, — bo mocna jest jako śmierć miłość — i wody mnogie ugasić jej nie mogą, rzeki nie zatopią jej (Pieśń 8, 7). Przedziwna to zaiste miłość Najsłodszego Serca Jezusowego! Zaprawdę, tylko miłość Zbawiciela mogła być założycielką tak wspaniałego związku, który w rzeczywistości wyraża najpiękniejszą i najczystszą miłość, jaką pomyśleć możemy, bo miłość Boga-Człowieka ku Kościołowi św. Wszak miłość ta jest nadprzyrodzona, a tylko Chrystus Pan mógł związek małżeński uczynić nadprzyrodzonym i miłość naturalną przekształcić przez łaskę na miłość tak świętą i doskonałą! Bez łaski nie możliwą byłoby rzeczą, aby małżonkowie miłowali się na wzór Chrystusa, aby trwali ze sobą wiernie, nie rozchodząc się już nigdy, choćby przyszło cierpieć im, jak Chrystus cierpiał na krzyżu. Łaska sakramentalna, jaką otrzymują chrześcijanie przy zawarciu małżeństwa, uzupełnia słabe siły ludzkie i uzdalnia małżonków do owej wzniosłej i dozgonnej miłości, jaką mają objawiać we wszystkich przejściach i smutkach, jeśliby Bóg dopuszczał je na nich dla ukrytych zamiarów miłościwej Swej Opatrzności.

Węzeł ten sakramentalny musi być z ustanowienia Chrystusowego nierozerwalnym, póki oboje małżonkowie są przy życiu, a to podnosi tylko godność małżeństwa i opromienia je szczególniejszym blaskiem. Miłość małżeńska, która potrafi trwać tylko póty, póki nie napotka na trudności, nie jest miłością, chyba miłością własną, pełną szukania siebie i własnych jedynie wygód i korzyści. Jak Serce Jezusa wciąż bije dla Kościoła Swojego, jak go nigdy nie opuszcza, tak i mąż żony nigdy opuścić nie może. Małżeństwo chrześcijańskie jest nierozerwalne, jak to przystoi na związek najściślejszy dwóch osób, na związek serc, składających w czułej i szczerej miłości jedno drugiemu ofiarę całopalenia ze siebie.

Ileżto szczęścia przysparzałby ludzkości Sakrament małżeństwa, gdyby go tak zrozumiano i tak go przyjmowano, jak go ustanowił Chrystus Pan; gdyby w rodzinach kwitnęła owa miłość święta, cierpliwa, ofiarna, która baczy przedewszystkiem na życie przyszłe, będące ostatecznym celem małżeńskiego pożycia! Rodzina szczerze katolicka, dzięki łasce sakramentalnej, tchnie szczęściem prawdziwie rajskiem. Małżonkowie przykładem cnót swoich zachęcają się wzajemnie i utwierdzają we wierże świętej i pędzą żywot po Bożemu. Wzajemnie się wspierają i pocieszają, dźwigają wspólnie swoje ciężary i uprzyjemniają sobie życie w duchu i po myśli Bożej, żyją w zgodzie i prawdziwem szczęściu, umieją cierpliwie znosić swoje słabości i niedostatki, a nadto modlą się nawzajem za siebie, ściągając błogosławieństwo Boże na doczesność i wieczność.

Do naszych Czytelników.

Z powodu wielkiego braku i zbyt wygórowanej ceny papieru t. zw. płaskiego, zmuszeni jesteśmy drukować odtąd pismo nasze na papierze rotacyjnym, który także tylko z wielkim trudem zdobywamy.

Format pisma jest cokolwiek mniejszy, dostosowany do maszyny rotacyjnej. Przez tę zmianę unikamy na razie konieczności podwyższenia przedpłaty.

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.